

Lin Carter

Śmierć z zaciemnienia

(Dead of Night)

1. Trzynastka

Za Czternastą Ulicą, między Chinatown i rzeką, ciągnie się cieszący się złą sławą obszar pełen wąskich, posępnych zaułków, podniszczonych kamienic, zmurszałych pirsów i pustych magazynów, które dawno zmieniły się w ruinę. Przystań dla ludzkich wraków, wyrzuconych z tysięcy portów Wschodu: Hindusów, Japończyków, Arabów, Chińczyków, Lewantyńców, Turków i Portugalczyków. Niegdyś te ciemne, groźne uliczki i zaśmiecone skwery były polem bitewnym w wojnach tongów. Wówczas też działał legendarny detektyw Steve Harrison, który w pojedynkę zaprowadzał na River Street, prawo i sprawiedliwość białych ludzi.

To już przeszłość – lecz na River Street nie zaszły żadne widoczne zmiany. Nowa urbanistyka nie dotknęła jeszcze zramolałych kamienic, prawo nie zamknęło szulerni, melin i podrzędnych knajpek. Nie odmienił się także tajemniczy, wielojęzyczny tłum Azjatów i niewielu się domyśla, jaki towar przepływa przez ciemne izby i jak wiele zbrodni, chciwości i gwałtu oglądają szerniałe i zawałone śmieciami zaułki.

Doña Teresa de Rivera wiedziała niemal o wszystkim, ale wcale jej to nie cieszyło. Z każdym zakrętem taksówka uwoziła ją głębiej w poplątany labirynt cuchnących slumsów. To waga zadania skłoniła ją do przyjazdu w ten zapadły zakątek miasta, tak odległy od cichych willowych ulic oraz szykownych restauracji, w których bywała.

Mgła, spływająca od nabrzeża, oplatała wilgotne macki wokół ścian ze starej zmurszałej cegły i ściemniała wyblakłe światła rzadko rozstawionych latarni.

Auto stanęło przed ziejącym czernią wylotem Levant Street, tam gdzie mrok, gęsto spowijający wąski i wyboisty podjazd, ustępował przed skąpym blaskiem pojedynczej lampy, zawieszanej nad odległymi o parę kroków drzwiami.

– Tutaj, psze pani. China Alley trzynaście – oznajmił taksówkarz, wskazując kciukiem nędzną lampę. W duchu zastanawiał się, czego ta ładna, młoda Hiszpanka może szukać w tak niebezpiecznym miejscu. Nie ulegało wątpliwości – była dziana. Żadna z kobiet nie nosiła kosztownych strojów z niewymuszoną elegancją, jeśli nie miała dość pieniędzy, swobody i gustu.

– To na pewno ten adres? – zająknęła się.

– Tak, psze pani. China Alley trzynaście, między Levant i River Street. Należy się sześć siedemdziesiąt pięć.

Doña Teresa wręczyła mu dziesięciodolarowy banknot i odmówiła przyjęcia reszty.

– Jak będę mogła stąd wrócić?

Podał jej ulotkę z adresem macierzystej firmy.

– Pani zadzwoni do szefa. Podrzuci jakąś taryfę.

Dziewczyna z ciężkim sercem wysiadła na ulicę. Samochód szybko odjechał, ciągnąc za sobą opar wirującej mgły. Doña Teresa weszła w ciemną paszczę uliczki. Ostrożnie stąpała po oślizłym chodniku. Lampa, która wskazywała jej drogę, zwisała nad drzwiami małego, piętrowego budynku, wciśniętego między dwie większe kamienice. Dom wyglądał na opuszczony, chociaż światło świadczyło o czym innym. Mur z pokruszonej cegły pokrywała wiekowa warstwa czarnego brudu, a okna spoglądały ślepo, niczym oczy zasnuwane kataraktą pyłu i mokrej sadzy. Doña Teresa zadrżała i mocniej otuliła futrem smukłe ramiona, próbując osłonić się przed chłodnym, wilgotnym powietrzem znad rzeki.

Dziwne, ale drzwi były z solidnego kawałka dębu. Na mosiężnej tabliczce nad dzwonkiem widniał napis „Zarnak”. Dziewczyna wzdygnęła się i z wahaniem wdusiła przycisk. Nie czekała zbyt długo aż drzwi uchylły się cicho na dobrze naoliwionych zawiasach.

W progu stanął wysoki, szczupły i długonogi mężczyzna w nieskazitelnie białej marynarce. Pewnie Hindus, gdyż miał wyrazistą, orlą twarz i nosił turban. Bystre oczy przeszły dziewczynę niczym dwa sztylety. – Zechce pani wejść, madame – powiedział z lekkim ukłonem. – Sahib już czeka. Wezmę pani okrycie.

Doña Teresa machinalnie podała mu rękawiczki i futro i ze zdumieniem rozejrzała się po holu. Nic w wyglądzie dzielnicy, jak i samego domku nie zapowiadało czekającej ją niespodzianki. W oczy rzucało się zwłaszcza ogromne chińskie kadzidło z brązu, ustawione na tekowym stojaku. Z osłoniętych jedwabiem ścian zwisały tybetańskie tonka, czyli malowidła na zwojach, a podłogę pokrywał miękki i gruby perski dywan.

Szczupły Hindus wprowadził gościa do małej biblioteki, oznajmił, że pan zaraz przyjdzie i wyszedł, cicho zamykając drzwi. Zdumienie Doñy Teresy wciąż rosło. Chociaż sama wychowała się w luksusie, nigdy w życiu nie oglądała czegoś takiego. Tu i ówdzie stały antyczne meble, wszystkie rzeźbione w polerowanym teku, wykładane macicą perłową lub płytkami kości słoniowej. Pod błyszczącymi brokatem ścianami, w przeszkłonych gablotach stały najwspanialsze dzieła dawnej sztuki – Etrusków, Greków, Rzymian, Hetytów i Egipcjan – z których każda mogła stanowić ozdobę niejednego muzeum. Dywan, bezcenny Ispahan, wyblakł nieco w ciągu minionych wieków, ale nadal zachował swe niecodzienne piękno. W nieruchomym powietrzu unosiła się wątła woń aromatycznego dymu, który błękitną smużką leniwie ulatywał z uśmiechniętych ust srebrnego wschodniego bożka.

Dostojne księgi, ustawione półkach, błyszczały łacińskimi, niemieckimi i francuskimi tytułami – „Unaussprechlichen Kulten”, „Livre d’Ivon”, „Cultes des Goules”. Doña Teresa nie znała żadnego z nich, choć wiedziała, iż mają wiele wspólnego z okultyzmem, z mroczną stroną nauki i filozofii.

Przed kominkiem stało rzeźbione, tekowe biurko, na którym wśród książek, manuskryptów i notatników leżały egipskie figurki pogrzebowe z niebieskiego fajansu, ogromne łupkowe

skarabeusze oraz kilka glinianych tabliczek pokrytych ostrym, klinowym pismem dawnych Babilończyków lub Sumerów. Nad kominkiem wisiała dziwaczna, drewniana maska, malowana szkarłatem, czernią i złotem. Przedstawiała zjadliwy pysk diabła z trojgiem błyszczących ślepi i rozchylonym, pełnym kłów pyskiem, z którego strzelały barwione złotem, stylizowane płomienie. Doña Teresa przypatrywała się masce z mieszaniną odrazy i fascynacji do chwili, gdy wyrwał ją z zamyślenia cichy głos, dobiegający z za jej pleców.

– Tybetańska – usłyszała. – Przedstawia Króla Diabłów, Yamę. Niektórzy twierdzą, że był czczony już w starożytnej Lemurii, jako Yamath, pan ognia.

Dziewczyna szybko się odwróciła. Gospodarz był wysokim, chudym i nieco posepnym mężczyzną w nieokreślonym wieku, o skórze przypominającej barwę starą kość słoniową. Miał gładko zaczesane, kruczoczarne włosy, od prawej skroni do karku przecięte ostrym zygzakiem siwizny. W ciemnych, zamyślonych oczach czały się zagadkowe błyski. Ubrany był w szlafrok z czarnego jedwabiu, zdobiony wizerunkami złotych smoków.

– Anton Zarnak – powiedział z lekkim uśmiechem. – A pani jest de Rivera. Proszę się rozgościć. – Zerknął na stolik, gdzie stały kryształowe karafki. – Może łyk brandy?

– Nie, dziękuję – odparła dziewczyna i usiadła w miękkim fotelu. Zarnak skinął głową i zajął miejsce za biurkiem. Otworzył notes, po czym sięgnął po pióro.

– Jak mogę pani pomóc? – spytał.

2. Nocne strachy

Doña Teresa nerwowo splotła dłonie.

– To nie ma nic wspólnego ze mną, doktorze. Chodzi o mego wuja, Don Sebastiana de Rivera. Jesteśmy ostatnimi ze starego hiszpańskiego rodu dawnej Kalifornii. Moi rodzice zmarli, gdy byłem dzieckiem, a don Sebastian stał mi się opiekunem i najwspanialszym przyjacielem. Teraz cierpi z powodu jakiejś potwornej klątwy i... i zdecydowałam się prosić pana o pomoc. Nikt inny tego nie zrobi. Zakaz wuja.

– Naprawdę? W czym tkwi problem?

Doña Teresa opuściła głowę, kryjąc powabne oczy za długimi i rzęsami.

– Może to zabrzmie śmiesznie... Boi się mroku.

Zarnak nie odpowiadał, więc zasypała go nagłym potokiem słów:

– Nie zawsze był taki! Kiedyś posiadał ogromną połać ziemi w południowej Kalifornii, w hrabstwie Santiago. Był dzentelmenem, ranczerem, jak od pokoleń każdy członek naszej rodziny. Wysoki, silny, lew w ludzkiej skórze, nie czujący trwogi przed Bogiem ani diabłem.

– A teraz? – spytał cicho Zarnak. Doña Teresa posłała mu wymowne spojrzenie.

– Teraz jest starcem, chociaż nie z racji wieku. Drżącym tchórzem, umykającym przed ciemnością, przygarbionym, słabym, zastraszone... i przedwcześnie zgrzybiałym. Przytłacza go poczucie winy, zupełnie jakby skrywał na dnie swej duszy okropną, nienazwaną winę...

– Powiedziała pani, że ucieka przed mrokiem. Co to znaczy? Bezwiednie zatarła ręce.

– Nasz ksiądz kazał mi przyjść do pana... Ojciec Xavier z...

– Znam go. Wspaniały człowiek i równie dobry kapłan. Proszę mówić dalej.

– Wszystko zaczęło się jakieś siedem lat temu. Byłam wówczas nieledwie dzieckiem. Niech pan zrozumie, doktorze: od czasów pierwszej hiszpańskiej kolonii nasz ród posiadał dziesięć tysięcy akrów. Uprawy zboża, stada owiec, bydło... Wuj zasługiwał na miano prawdziwego mężczyzny. Raz widziałam, jak gołą dłonią zdusił grzechotnika. Zabił niedźwiedzia grizzly nożem, który wy nazywacie „bowie knife”. Nigdy w życiu nie zaznał strachu, a teraz z nastaniem nocy pospiesznie zaciąga kotary i rozpala tysiące świateł, by przepędzić widmo mroku...

Zarak dumiał przez chwilę.

– Szukał rady lekarza? Może... psychiatry?

– Lekarz domowy zalecił panaceum, okłady i wypoczynek. Don Sebastian nie cierpi medyków. Uważa ich za szarlatanów.

– Sam jestem kimś w rodzaju szarlatana – z uśmiechem zauważył Zarnak. – Proszę mówić. Chcę wiedzieć jak najwięcej. Każdy szczegół, jaki przyjdzie pani do głowy, może mieć

nieocenioną wagę, naprowadzić na ślad rozwiązania...

– Podejrzewam, że ma to związek z wizytą wuja na starym indiańskim grobie, który był tam na długo przedtem, zanim na dobre zaczęliśmy rządzić tą ziemią – odparła Doña Teresa. – Podobno został on usypany przez plemię Mutsune, dawno wygasłe, przynajmniej w Kalifornii. No i po naruszeniu spokoju zmarłych wuj zaczął się... zmieniać.

Na wspomnienie kopca Mutsune w beznamiętnych oczach Zarnaka zapłonęły czujne ogniki. Wąską, pewną dłonią mocniej chwycił pióro i zapisał coś na papierze.

– Czy w kurhanie było coś ciekawego? Doña Teresa wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Może antropolog uznałby jakieś rzeczy za wartościowe. Pochowano tam chyba szamana, czarownika albo znachora. Wszystko jedno. Wuj znalazł gliniane urny pełne ziarna, skruszonych paciorków, potłuczonych muszli i kości. Ciało szamana zachowało się znakomicie, niczym egipska mumia, ale słyszałam, że po zetknięciu z powietrzem została zeń garstka prochu.

– Co jeszcze było w grobowcu?

– Biżuteria z kutej miedzi... srebrne bransolety nabijane nie pociętymi, ale szlifowanymi turkusami... i dziwnie wyglądający wisior z czarnej wyschniętej lawy...

– Z obsydianu? Ciekawe – wtrącił Zarnak.

– Parę miesięcy po otwarciu grobu wuj zaczął przejawiać pierwsze oznaki strachu przed ciemnością. W ciągu roku wyzbył się niemal całej ziemi na rzecz sąsiedniego ranczera i odesłał mnie na wschodnie wybrzeże. Miałam nadzieję, że osiadziemy w moim ukochanym San Francisco, ale nie, dziś dzieli mnie od domu cała szerokość kontynentu. Mamy niewielkie lokum na pięknie zadrzewionej uliczce opodal Park Avenue i od dłuższego czasu żyjemy samotnie.

– A wuj nadal podupadał na zdrowiu?

– W ciągu tych siedmiu lat zmalał i stał się kruchym i wystraszonym starcem. Mimo to, jestem pewna, że nie chodzi o wyczerpanie fizyczne. Lekarz również twierdzi, że to tylko nerwy. Jak mówiłam, wuj uparcie odmawia wizyty u psychiatry. Nawet u księdza... Mam nadzieję, że jestem dobrą katoliczką. Don Sebastian przejawia obojętność wobec spraw kościoła. Owszem, składa pewne datki, ale nie uczestniczy w nabożeństwach. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz był u spowiedzi. Czasem obawiam się o jego duszę.

– Proszę mi jeszcze coś powiedzieć o jego obsesji.

– Absurdalnie dziecinna, prawda? Lecz dla niego to istny koszmar. W ciągu dnia zachowuje się całkiem normalnie, jada wraz ze mną, rozmawia, nawet żartuje. Kiedy zbliża się pora zmierzchu, każe służbie zaciągnąć wszystkie zasłony i pozapalać lampy. Potem znika we własnym pokoju, który wyposażył w tak silne reflektory, że w żadnym, nawet najmniejszym kącie nie znajdzie się ani kawałka cienia. Nie znosi cieni i ustawicznie obawia się przerwy w dostawie prądu. W każdej izbie, na wszelki wypadek, znajdują się tuziny świeczników i latarki

z regularnie wymienianymi bateriami. To okropne patrzeć, jak dorosły człowiek boi się ciemności...

– W jaki sposób wuj spędza większość czasu?

– Na badaniach. Wciąż wertuje stare, spleśniałe księgi, pisze do naukowców w każdej części świata, koresponduje z największymi bibliotekami... szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia, co robi. Nigdy o tym nie „mówił... ale sądzę, że czegoś się boi. Jakby zbudził gniew śpiącego demona ciemności i teraz drżącą dłonią rozpaczliwie czepiał się światła.

Zarnak znowu zaczął wodzić piórem po papierze.

– Co stało się z przedmiotami wyjętymi z indiańskiego grobowca? – spytał cicho.

– Są u wuja. W jego pokoju. Wciąż je ogląda, pieści... – odpowiedziała dziewczyna.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

Doña Teresa zastanawiała się przez chwilę.

– Chyba tak... choć nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Zanim wuj sprzedał hacjendę, mieszkał z nami na stałe pewien duchowny. Rodowity Indianin, odległy potomek wymarłego plemienia Mutsune. Zawsze będę pamiętać, jak zareagował na wieść, iż don Sebastian rozkopał kurhan i zagarnął znalezione przedmioty. Zdrętwiał ze zgrozy, jakby chodziło o świętokradztwo lub straszliwe niebezpieczeństwo.

– Czy któraś z rzeczy wzbudziła jego szczególną uwagę? – zapytał Zarnak.

Znów nastąpiła chwila milczenia.

– Tak. Pektorał z czarnego obsydianu. Ksiądz z przerażeniem spojrział na wuja i powiedział – pamiętam dokładnie – „Ośmieliłeś się wyjąć ów przedmiot na światło dzienne?” Potem zanucił jakąś indiańską pieśń, kołysząc się do rytmu i powtarzając w kółko jedno zdanie.

– Pamięta pani słowa tej pieśni? Dziewczyna wzdrygnęła się.

– Oczywiście! Bardzo się wtedy bałam. Trzy wyrazy, mamrotane posepnym głosem: „Zoo, Chee, Khan... Zoo, Chee, Khan...”

Zarnak coś zanotował, po czym wstał i pociągnął sznur dzwonka.

– Przyjdę do państwa jutro rano. Będzie lepiej, jeśli przestanie pani nazywać mnie „doktorem”, skoro don Sebastian przejawia awersję do lekarzy. Co prawda mam doktorat z psychologii, ale porzuciłem praktykę. Nie należy zbytnio go drażnić. Proszę mnie przedstawić jako antykwariusza lub zwyczajnego kolekcjonera zabytków. Nie będzie to zbytnim kłamstwem, skoro widziała pani moje zbiory. Mój służący, Ram Singh, wezwie pani taksówkę. Dobranoc.

Po wyjściu młodej damy, zerknął w notatki i na jego surowej twarzy pojawił się wyraz zadumy.

Pod fonetycznym zapisem słów indiańskiej pieśni dodał krótkie pytanie:

„Zulchequon?”

3. Czarny pektorał

Mimo panującej ciemności, nie było jeszcze na tyle późno, by Zarnak nie mógł wykonać kilku szczególnie pilnych telefonów. Od znajomego antropologa, znawcy kultury Indian amerykańskich dowiedział się, że plemię Mutsune należało do grupy Zuni i że nie zostało po nim zbyt wiele śladów. Nie znano zbyt dobrze ich wierzeń, wiadomo było tylko, że obawiali się demona zwanego Zu-che-quon. Stary przyjaciel z biblioteki Uniwersytetu Miskatonic doradził Zarnakowi, aby poszperał w „Księdze loda”, gdyż tylko tam można było znaleźć opis tej zagadkowej istoty. Sama księga należała do największych rzadkości; wiadomo było tylko o jednym egzemplarzu, w tłumaczeniu niejakiego Johanna Negusa, który to starannie usunął większe partie tekstu, uznawszy je za zbyt przerażające dla przyszłych pokoleń.

Zarnak, rzecz jasna, nie posiadał owego dzieła w swej prywatnej kolekcji, chociaż miał wiele innych rzadkich i tajemniczych tomów. Zdjął z półki ciężki, oprawny w skórę węża manuskrypt, spisany przez całe pokolenia skrybów. Zawarto w nim fragmenty innych, mniej znanych woluminów, wśród nich „Księgi loda”. Wypis był sporządzony z egzemplarza przechowywanego pod zamknięciem w podziemiach kalifornijskiej Biblioteki Huntingtona, a dokonał go człowiek nazwiskiem Denton, wieloletni przyjaciel Zamaka. Ustęp brzmiał:

„Wielki i Cichy mieszka w głębinach pod ziemią, u wybrzeża Zachodniego Okeanu. Nie ten On z możliwych Przedwiecznych ukrytego świata, ni innych gwiazdozbiorów, lecz w ukrytej ciemności Ziemi od zawsze mieszka. Nie ma drugiego imienia nad On, boż On jest złem ostatecznym i nieśmiertelną pustką oraz Milczeniem Starej Nocy...”

I tak dalej, w tym samym stylu. Zarnak przebiegał wzrokiem mniej ważne partie tekstu, aż w końcu trafił na coś, co go zaciekawiło, a zarazem wywołało odczucie grozy.

...On niesie ciemność w dzień i czernią zakrywa światło. I wszystkie życie, glosy i ruchy zamierają za Jego przejściem. Czasem przychodzi w czas zaćmienia i chociaż nie ma nazwy, ciemnoskórzy wołają nań Zushakon.

Znali Go już dawniejsi w starym Mu, oraz w Xinian pode skorupą Ziemi, czcili Go dziwnym wyznaniem, dzwoniąc w małe, straszliwe dzwonki, jak to powiada Eibon. Bo też On nie bał się niczego więcej niżli dziennego światła, którego nienawidził, choć nawet sztucznie czynione światło może Go odstraszyć, kiedy nadchodzi. On ci jest Sprawcą Mroku, Arcywrogiem Dnia, a Ubbo-Sathla był Jego Panem. Można Go poznać jako pełzający kłęb ciemności, albo też wir splątanych cieni”.

Przypis zrobiony ręką Dentona głosił, że ostatnie osiemdziesiąt dziewięć słów powyższego fragmentu zostało usunięte z książki przechowywanej w Bibliotece Huntingtona i że odnaleziono je w zapiskach Von Juntza, który najwidoczniej miał dostęp do pełnego tekstu.

Zarnak zamknął manuskrypt, odłożył go na półkę i zapadł w głęboką zadumę.

* * *

Następnego ranka doktor Anton Zarnak podjechał taksówką pod drzwi miejskiej rezydencji Don Sebastiana de Rivery i jego bratanicy. Auto stanęło przed eleganckim domem w cichej alejce, ocienionej rzędami starych buków. Lokaj, wyraźnie hiszpańskiego pochodzenia, wprowadził Zamaka do słonecznego saloniku, gdzie już czekała Doña Teresa.

– Wuj zaraz zejdzie na śniadanie – powiedziała po przywitaniu. – Zje pan z nami?

– Proszę tylko o kawę – z uśmiechem odparł Zarnak. – Już jadłem. Lubię czarną, bez cukru, jeśli łaska.

Usługiwała im ładna Meksykanka imieniem Carmelita. Na stojących na kredensie srebrnych półmiskach parował boczek, kielbasy, jajecznica i świeże, gorące bułki. W zamrożonej karafce stał sok wyciśnięty z pomarańczy. Kawa była przepyszna, z kolumbijskich zbiorów.

Zarnak z zaskoczeniem spojrzął na wchodzącego Don Sebastiana. Dawny ranczer był w wyjątkowo złej kondycji. Nie stary, a już skarłały, pomarszczony, o ciężko przygarbionych ramionach, jakby ugiętych pod ogromnym brzemieniem. Twarz miał bladą i przedwcześnie naznaczoną cierpieniem, oczy nieprzytomne i mocno przekrwione.

Bez oporów przyjął do wiadomości zapewnienia siostrzenicy, że Zarnak jest antykwariuszem zainteresowanym różnymi starociami. Podczas śniadania rozmawiali głównie o wyrobach indiańskiego rzemiosła. Don Sebastian aż do przesady objawiał radość z obecności gościa, jakby na co dzień nie widywał nikogo, z wyjątkiem Dony Teresy i służby.

Po posiłku zapytał Zamaka, czy chce obejrzeć kolekcję rzadkich zbiorów. Miał sporo sreber, wyrabianych przez Zuni i wysadzanych grubo szlifowanymi turkusami, miniaturowe totemy plemion z rejonu północno – zachodnich wybrzeży Pacyfiku i paciorki, z których mogłoby być dumne niejedno muzeum. Zarnak pozornie mimochodem napomknął o kopcach z południowego – zachodu i, co prawda niechętnie, został dopuszczony do najciekawszej części kolekcji.

Większość eksponatów nie wyglądała groźnie; jak już wspomniała Doña Teresa, były to głównie gliniane garnki z ziarnem kukurydzy, jakieś skorupy, nieco biżuterii, pasy i bransolety. Jednak pewne zdobienia wydawały się Zarnakowi dziwnie smutne, zwłaszcza że część nocy spędził na studiowaniu dzieł dotyczących indiańskiej antropologii. Nie ulegało wątpliwości, że mumię poświęcono mrocznym, podziemnym siłom.

Brakowało tylko czarnego pektorału. Zarnak w końcu zapytał, czy może go zobaczyć, twierdząc (zgodnie z prawdą), że już dużo wcześniej słyszał o tym niezwykle rzadkim i tajemniczym znalezisku. Don Sebastian bez entuzjazmu wyraził zgodę.

Złomek wulkanicznego szkła miał nieregularne kształty i był dziwnie ciężki. Gdy Zarnak uniósł go do światła, ujrzał tajemniczy rysunek; coś jakby zakapturzoną postać w otoczeniu brunatnych, smętnych i odpychających cieni. Symbol opleciony był kręgiem niezemijskich znaków; zapisem języka nieznanego ludzkości. Zarnak także nie wiedział, co one oznaczają, lecz przywołał w pamięci fragment „Księgi loda”, który głosił: „Moc i grozę zamknięto w tychże wizerunkach, jakie Oni ściągnęli z gwiazd, kiedy Ziemia nabrała kształtu...”

W czasie oględzin małej, lecz cennej kolekcji, Zarnak wciągnął gospodarza w dyskusję i odkrył, że ów zwiędły, wyniszczony człowiek, choć wyglądał na poważnie chorego, mówił z sensem i jak na amatora miał rozległą naukową wiedzę. Nie ulegało wątpliwości, że jego umysł pracował normalnie. Zarnak na tyle liznął medycyny, by dojść do wniosku, że właściwych przyczyn stanu Don Sebastiana należało szukać w warstwie mentalnej, a nie fizycznej. Zaczynając ranczer nie cierpiał na żadną ułomność.

Za pozwoleniem gospodarza Zarnak skopiował tajemnicze symbole z czarnego pektorału. Po powrocie do domu przy China Alley numer trzynastym przez wiele godzin wertował księgi ze swego ogromnego zbioru, porównując pradawne teksty. Obcy zapis nie pasował do języka tsath-yo, używanego w Hyperborei, ani do naacalu z zaginionego świata Mu, ani do gwary z Rlyeh. Nikłe podejrzenie, że mogą to być znaki języka aklo, skłoniło badacza do sięgnięcia po najrzadsze woluminy.

W końcu wziął do ręki egzemplarz księgi Ottona Dostmanna pod tytułem „Szczątki zaginionego imperium”, wydanej w Berlinie w 1809 roku nakładem Drachenhaus. Tu odnalazł słynne „tablice aklo” i porównał powykręcane hieroglify z rysunkiem z pektorału. Wyglądały tak samo.

Przekład brzmiał: „Sadź mnie z dala od Światła, gdyż Noc moim przyjacielem, a Dzień wrogiem, póki Zulchequon cię nie pochłonie”. Zarnak przejrzał odnośne fragmenty „Livre d’Ivon”, w których opisano Władcę Ciemności i nagle pojął ogrom zagrożenia, w jakim żył Don Sebastian de Rivera od czasu rozkopania grobu indiańskiego szamana. Światło – nawet sztuczne – sprawiało, że Mroczny nie mógł się zbliżyć, by okazać swój gniew śmiertelnikom. Uderzał i mordował wyłącznie nocą, mszcząc się za naruszenie reliktyw przeszłości, jakie po wieki nie powinny zaznać światła dnia. Don Sebastian, ogarnięty nierozumną chciwością, nie zamierzał się pozbyć czarnego obsydianu i przez wszystkie minione lata drżał przed widmem nieuchronnej zagłady... a o tej porze roku, z powodu przeciążenia sieci, zwłaszcza w czasie silnych wyładowań atmosferycznych, często wyłączano prąd...

Mocno zaniepokojony Zarnak złapał za słuchawkę, by ostrzec Don Sebastiana i jego

siostrzenicę. Niestety, w wyniku zakłócenia na linii nie udało mu się połączyć z rezydencją. Podeszedł do okna i rozsunął ciężkie kotary. Zapadła noc, niebo było zasnuwane ciężkimi, nabrzmiętymi chmurami, a w dali raz po raz jaśniały błyskawice. Radio ostrzegało, że w związku z nagłą burzą w części miasta na krótko może zostać wyłączony prąd.

Zarnak pospiesznie zrzucił szlafrok, wdział płaszcz i chwycił małą czarną walizkę, którą zazwyczaj dniem i nocą trzymał w zasięgu ręki. Zadzwoił na hinduskiego służącego, żeby wezwał mu taksówkę.

4. Pan Ciemności

Podróż przez zatłoczone ulice miasta zdawała się nie mieć końca. W górze, na poczerniałym niebie, brzemienym w zwisające groźnie burzowe chmury co raz migotały języki błyskawic. Lada chwila piorun mógł strzelić w linię wysokiego napięcia i spowodować zabójczą – dla Don Sebastiana – przerwę w dostawie prądu.

Wreszcie taksówka skręciła w cichą, zadrzewioną ulicę opodal Park Avenue i zajęła przed dumną fasadą domu de Riverów. Zarnak pospieszenie zapłacił szoferowi za kurs i wyskoczył na chodnik. Dzwonił i dobijał się, aż w końcu w progu stanęła Doña Teresa. Jej piękne oczy rozszerzyły się ze zdumienia na widok okultysty. Szerzej otworzyła drzwi.

– Wszystko w porządku? – chrapliwie zapytał Zarnak. Skinęła głową i wyjaśniła, że wuj także słyszał radiowy komunikat o możliwości zaciemnienia, przeraził się i zażądał, żeby służba na wszelki wypadek w każdym pokoju zapaliła świece.

– Proszę mnie zaraz do niego zaprowadzić! Chcę zabrać czarny pektorał, osłabić jego moc i...

Weszli po schodach na piętro, do pokoi Don Sebastiana. Na każdym stole stał srebrny świecznik; płonęły wszystkie lampy. Potok światła zalewał sypialnię, wypędzając cienie z najskrytszych zakamarków. Don Sebastian wyglądał okropnie. Ścisnął dygoczące ręce, a z kącików ust płynęły mu strużki śliny. Był tak przerażony, że ledwo zauważył wchodzącego Zamaka.

Kiedy Carmelita wraz z resztą służby zeszła do piwnicznej spiżarni, aby tam także rozpaścić świece, Zarnak poprosił Don Sebastiana o pożyczenie obsydianowego pektorału. Starzec zgodził się bez wahania; albo wcale nie słyszał słów gościa, albo nie zwracał na to uwagi. A potem się stało.

Lampy nagle zamigotały i zgasły. Don Sebastian wrzasnął jak potępieniec i skulił się w kącie. Doña Teresa podbiegła, żeby go uspokoić, a Zarnak skoczył do okna, podwinął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Cały kwartał tonął w smolistej czerni, nawet uliczne latarnie dawały niewiele światła. Doszło do przewidywanej awarii.

Silny podmuch zimnego, cuchnącego wiatru szarpnął kotarę. Subarktyczny chłód wtargnął do rozgrzanego pokoju.

Świece zgasły, w tej samej chwili, jak zdmuchnięte oddechem niewidzialnego olbrzyma.

Zarnak spieszenie otworzył czarną walizkę. Wyjął z niej coś dziwnego, coś na kształt czarodziejkiej różdżki. Rdzeń wykonany był z namagnesowanego żelaza, uchwyt z kawałka zwiniętej miedzi, zaś koniec był ozdobiony swoistym talizmanem z szarozielonego kamienia, wyciętego w kształcie pięcioramiennej gwiazdy. Gdy zgasło światło, klejnot zajaśniał w mroku

delikatną poświatą.

Cień zawirował w rogu pokoju. Stawał się większy, grubszy... Zimny pot spływał po ascetycznej twarzy Zamaka. Pięcioramienna gwiazda jaśniała coraz mocniej. Zarnak machnął nią w stronę chmury cienia, lecz mrok pochłonął wąty błysk światła i nie zamierzał się cofnąć. Don Sebastian znów krzyknął.

Zarnak z desperacją zerknął na odsłonięte, otwarte okno. Nad horyzontem, jak zamglone oko, wstawiała zorza, ledwie widoczna pod nisko wiszącymi chmurami. Chwycił się ostatniej deski ratunku:

IA! IA! CTHUGHA!

PH'NGUI MGLW'NAFH

CTHUGHA FOMALHAUT

N'GHA-GHAA NAF'L THAGN

IA! CTHUGHA!

Trzy razy recytował niezwykle strofy przedziwnego zaklęcia, a ciemność wciąż wirowała, rosła i nabierała życia w odległym kącie pokoju, aż stała się namacalna.

Małeńkie iskry złotego ognia spadły na bestię niczym trzepoczący rój świetlików. Nie udało im się rozjaśnić mroku, lecz w sypialni zrobiło się cieplej. Zaszumiały ogromne, niewidzialne skrzydła... A potem wszystkie lampy zajaśniały olśniewającym blaskiem. Całe szczęście, awaria okazała się krótkotrwała. Wirująca chmura białych iskiek zgasła na znak Zamaka. Ciężka chmura cienia zmalowała w kącie. Zarnak podszedł do niej, unosząc gwiazdzistą różdżkę.

Mrok, który przybrał postać Zulchequona, zniknął. Pozostał po nim jedynie smrodliwy opar.

Zarnak zebrał się w sobie i odszedł w drugi róg pokoju, gdzie zapłakana Doña Teresa kołysała w ramionach nieruchome ciało wuja. Twarz Don Sebastiana była biała jak mleko, a na ustach zamarł okropny grymas najwyższego przerażenia. Zarnak przyklęknął i dokonał szybkich oględzin. Brak oddechu, pulsu, pracy serca. Starzec nie żył.

* * *

Nadjechała policja, ambulans, przyjechał również lekarz sądowy. Zarnak pokrótce wyjaśnił, że Don Sebastian chorobliwie obawiał się ciemności. Ponieważ nie stwierdzono żadnych obrażeń, coroner orzekł śmierć wskutek rozległego ataku serca. Policji to wystarczyło. Sanitariusze w długich białych kitlach ułożyli ciało na noszach.

Na odchodnym lekarz rzucił okiem na strasznie wykrzywioną twarz nieboszczyka i mruknął:

– Powinienem to chyba opisać jako „śmierć z przerażenia”. Zarnak, który stał, obejmując

wciąż roztrzęsioną i zapłakaną Doñę Teresę, pozwolił sobie na mały, ponury dowcip:

– Nie, doktorze – zamruczał. – Raczej „śmierć z zaciemnienia”.